

Grażyna Bąkiewicz

# OSTAŃNIA SZTUCZKA



Grażyna Bąkiewicz  
**Ostatnia sztuczka**

© by Grażyna Bąkiewicz  
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka:  
Robert Konrad

Korekta i skład:  
Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie I, Łódź 2021

ISBN 978-83-7672-943-5

Wydawnictwo Literatura



91-334 Łódź, ul. Srebrna 41  
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl  
tel. (42) 630-23-81  
www.wydawnictwoliteratura.pl

**M**ogłam być mądrzejsza i zorientować się wcześniej. Łatwo powiedzieć! I tak dobrze, że połapałam się w porę. Trochę późno, ale lepiej późno niż wcale. W końcu mam dopiero trzynaście lat i żadnego doświadczenia w tej kwestii. No, ale po kolei.

Zaczęło się od mamy. Jak zawsze.

Tego dnia był upał i czułam się jak skwarek na patelni. Chyba zrozumiałe, że jedyne, czego pragnęłam, to rozłożyć się na trawie pod gruszą i leniuchować. Gdyby udało mi się zrealizować ten plan, uniknęłabym wielu kłopotów. Niestety, napotkałam na matczynej opór.

– Chyba nie zamierzasz marnować tak pięknego dnia na nicnierobienie! – powiedziała, obserwując, jak moszczę sobie legowisko pod drzewem.

To właśnie zamierzałam. Mój wewnętrzny leniwiec mówił: „Leż i nie reaguj. Masz wakacje i swoje prawa!”.

Mamę rozpieierała jednak energia i musiała ją rozładować, a pod ręką miała tylko mnie. W takiej sytuacji żadne prawa nie obowiązują. Oczywiście, próbowałam! Zaczęłam od najprostszej metody. Skierowałam na mamę kamerkę i włączyłam nagrywanie. Zapaliła się czerwona dioda.

– Oto moja rodzicielka! – zrobiłam zbliżenie na piegi na jej nosie. – Zaraz mi powie, czym powinnam się zająć podczas wakacji! Słuchajcie!

Nawet nie mrugnęła. Jest przyzwyczajona do takich numerów. Poprawiła tylko włosy, uśmiechnęła się i wypowiedziała swoją kwestię:

– Idź lepiej zobaczyć, co w miasteczku jest ciekawego!

Mogłam wyliczyć bez ruszania się z miejsca: – rynek, kościół i kilka sklepów. Sprawdziłam w internecie i wątpię, by od tamtej pory cokolwiek się zmieniło. Wiedziałam jednak, że wyliczanki nie przekonają mamy, więc użyłam argumentu grubszego kalibru:

– Nie będę przecież łaźniła sama! Może mi się coś stać!

To powinno trafić do maminego stroskanego serca. Niestety, nie trafiło.

– Akurat! – prychnęła.

Sama objeżdżyła pół świata autostopem i nie czuła strachu przed ludźmi. Takie też nastawienie wpajała mnie, twierdząc, że wystarczy odrobina zdrowego rozsądku, by uchronić się przed kłopotami. No, okej, nie bałam się iść do miasta, tylko mi się zwyczajnie nie chciało. Po namyśle zdecydowałam się więc na inną taktykę.

– Chodźmy razem! – zaproponowałam.

Zamachała rękami.

– Zwariowałaś? Mało mam tutaj roboty? – spytała oburzona.

Zatoczyła ramieniem półkole, a ja pojechałam kamerką w ślad za jej ruchem, filmując kawałek pola i krzaki, w centrum których tkwił wychodek pana Wojtka. To z jego powodu tu przyjechaliśmy. Pan Wojtek zabiegał o wizytę archeologów od dłuższego czasu. Znajdował bowiem na swoim polu skorupy i groty strzał, a gdy pod traktorem zawalił się strop jakiejś podziemnej konstrukcji, zgłosił sprawę do urzędu. Jego prośba wędrowała z biurka na biurko, aż w końcu wylądowała na właściwym. To właściwe należało do mojego taty. Zarówno on, jak i mama pracują na uniwersytecie i uczą archeologii. Prowadzą obozy naukowe, które mają uświadamiać studentom,

jak naprawdę będzie wygląda ich przyszła praca. Wielu z nich nie wie, że polega ona na przekopywaniu w pocie czoła cudzych pól i łąk, i to najczęściej na kolanach! A że tata lubi poważne wyzwania, więc wychodek pana Wojtka został zakwalifikowany jako obiekt najbliższych praktyk.

Zrobiłam najazd na gościa w podartych dżinsach i rozciągniętej koszulce, który pojawił się w polu widzenia.

– To mój tata, profesor archeologii.

Tata pomachał do kamery i posłał mi buziaka. A może nie mnie, tylko mamie? Trudno powiedzieć.

Lubię swoich rodziców. To znaczy – kocham ich, ale i zwyczajnie lubię. Znoszę nawet te wyprawy, na które ciągną mnie od urodzenia. Ale jeśli liczyli, że złapię bakcyła i będę z upodobaniem kopała doły w ziemi, to pewnie czują się nieco rozczarowani. Moje pasje rozwijają się bowiem w całkiem innym kierunku. Wolę kręcić.

– Są tam jakieś atrakcje poza wychodkiem? – spytałam, gdy przedstawili mi plany na wakacje.

– Jezioro, wzgórze, las, stare kino... – wymieniała mama.

Słowo „kino” zabrzmiało niezłe, ale skrzywiłam się i mruknęłam:

– To niewiele.

– I festiwal *street artu* oraz sztuk iluzjonistycznych! – wyczytał tata z informatora. – Będzie co filmować.

– A jeśli tak, to spoko! – zgodziłam się bez dalszych dyskusji.

– Wiedziałem! – mruknął i przybili z mamą piątkę.

Odkąd dostałam telefon z kamerką, zwariowałam na punkcie filmowania. Wokół ciągle dzieją się rzeczy, od których zapiera dech w piersiach, ale większość od razu idzie w zapomnienie. Nie wtedy jednak, gdy ja jestem w pobliżu! Bo jeśli moje pierwsze „ja” to znudzony leniwiec, to drugie to głodny wrażeń tygrys. Gdy dzieje się coś ciekawego, sięgam do kieszeni, a moja minikamera przykleja się do dłoni i w jednej sekundzie zaczynam działać. Tak jak wtedy, gdy pan z laptopem nie chciał ustąpić miejsca kobiecie w ciąży. Rzecz działa się w autobusie, którym wracałam ze szkoły. Kobieta była zielona na twarzy i każdy głupi widział, że jest jej niedobrze. A on zamiast pomóc, zaczął pyskować, że jak kobiety chciały równouprawnienia, to niech nie narzekają. Ona nie narzekała, tylko puściła pawia i to prosto na niego

i jego laptop. To było super, a moja kamera wszystko nagrała! Sama nie wiem, kiedy ją wyjęłam i włączyłam. Minutowy filmik zrobił niezłą karierę w sieci, a jedyny hejt był chyba od tego pana.

Tak zaczęła się moja przygoda z kręceniem. Teraz jestem łowcą ulicznych scenek. Mam już prawdziwą minikamerkę i niezłą kolekcję filmików. Występuję pod pseudonimem Balbina, bo, przykra sprawa, tak mam na imię.

– Oto wychodek pana Wojtka! – skierowałam obiektyw na wspomniany już obiekt. – Kryją się pod nim tajemnice sprzed wieków, a archeolodzy będą mozolnie wydłubywać je gołymi rękoma. A może z dołu wyjdzie starożytny kościotrup i sam nam powie, co tam narobił?

Nikt nie wyszedł. Rozległ się za to dźwięk telefonu. Tata odebrał i powiedział:

– Przyjechali nasi studenci! Jadę po nich na dworzec, bo zanim się tu przywloką, minie pół dnia, a mamy masę roboty!

– Poczekaj, zabiorę się z tobą! – zawołałam. – Mama kazała mi zwiedzać miasteczko.

– No to raz-dwa!

Wstałam, otrzępałam się z trawy i byłam gotowa.

Gdy odjeżdżaliśmy, uchwyciłam mamę, jak układa się na wymoszczonym przeze mnie legowisku. Ha! Moja kamera niczego nie przepuści, a instykt łowcy zaalarmował: „Mam to!”. Oczami wyobraźni już widziałam tę scenkę i wcześniejszą tyradę mamy o nicnierobieniu. Od razu poprawił mi się humor. Jak zmontuję jedno z drugim, będzie ubaw!

Odebraliśmy z dworca całą grupę – długiego jak tyczka Stefana, przystojniaka Marcina, małego Zdunka, Olgę i Martę. To stara gwardia, do tego kilku pierwszoroczników, którzy jeszcze nie wiedzieli, co ich czeka. Myślą, że archeologia to rozwiązywanie zagadek sprzed setek i tysięcy lat, a nie biorą pod uwagę, że to przede wszystkim fizyczna praca. A ta potrafi zniechęcić, szczególnie tych nastawionych na tajemnice. Wielu wymięka po jednych takich wakacjach.

– Cześć, Balbina! Czo robisz? – Stefan przywitał mnie tekstem ze starej jak świat dobranocki\*.

– Patrzę! – odpowiedziałam.

---

\* *Różne przygody gąski Balbinki* – jedna z pierwszych polskich dobranoczek. Kreskówka składała się z kilku nieruchomych obrazków, do których aktorzy dokładali dialogi. Autorką rysunków była Anna Hoffmanowa.